W 42 ROCZNICĘ POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

WYPAD NA POCIĄG

BRONISŁAW STRUŻEWSKI „WIGIER"

Druga noc Powstania, z 2 na 3 sierpnia, była — jak i poprzednia — pochmurna, dżdżysta. Dopiero nad ranem deszcz powoli przestał padać. Wkrótce po pobudce, ledwo zdążyliśmy się umyć, ogolić i myśląc o zbiórce na modlitwę i śniadanie zabraliśmy się do porządkowania pomieszczenia — wstąpił do nas dowódca naszego 331 plutonu WSOP, ppor. „Wrzesiński" (Wacław Mikulski), który był oficerem służbowym. Usiadł przy stole i pisał coś w brulionie, gdy wpadł jak strzała do bramy nieduży, dwunasto-trzynastoletni chłopak z krzykiem: „Gdzie tu dowódca, muszę mówić z dowódcą!" Zatrzymany przez wartownika i doprowadzony do podporucznika, zdyszany, mocno przejęty szkrab stanął na baczność, zasalutował i wyrzucił z siebie: „Panie poruczniku, melduję posłusznie, że w wykopie kolejowym stoi pociąg. Nasi już tam są i kazali mi powiedzieć o tym panu porucznikowi!" Oficer z pobłażliwym uśmiechem zadał mu parę pytań, usiłując wywiedzieć się szczegółów, ale bezskutecznie. Chłopiec, nader rezolutny, nie potrafił wyjaśnić ani kim są i skąd się wzięli ci „nasi", ilu ich, ani gdzie właściwie jest ten pociąg. „Ja zaprowadzę i pokażę" — obiecał z przekonaniem.

Podporucznik zwrócił się do nas stojących wokół i śledzących całą tę scenę: „Którzy są wolni i mają broń niech tam skoczą". Tylko na to czekaliśmy. Wnet kilku z nas załadowało karabiny, porwało ustawione pod ścianą butelki z benzyną (granatów na kwaterze nie było), stuknęło obcasami, odmeldowało się i popędziło co tchu ulicą Złotą w kierunku Żelaznej wraz z łącznikiem, wyraźnie zadowolonym, iż pełni ważną funkcję. Przełazami między posesjami dotarliśmy na ulicę Chmielną. Po jej południowej, nieparzystej stronie, znajdowały się parterowe budynki z czerwonej cegły, warsztaty czy magazyny kolejowe z rampami, dalej jakieś szyny, sterty drewnianych podkładów i rozmaitego zardzewiałego żelastwa. Od strony Alej Jerozolimskich, z biegnącego po ich północnej stronie wykopu kolejowej linii średnicowej, dochodziły do naszych uszu przerywane syki pary, jakby uchodzącej z komina lokomotywy oraz powtarzający się od czasu do czasu terkot karabinu maszynowego.

Mały przewodnik doprowadził nas za szczytową ścianę jednego z magazynów. Zastaliśmy tu czterech lub pięciu powstańców z opaskami na rękawach, jak my różnie ubranych i uzbrojonych, może nieco od nas młodszych. Stanowili patrol 2 Harcerskiej Baterii Artylerii Przeciwlotniczej „Żbik". Niestety, sytuacji nie znali, nie mogli nas z nią zapoznać. Podziękowaliśmy łącznikowi: „Zuch z ciebie!", poklepaliśmy go po ramionach. Do naszej grupy dołączyło jeszcze wkrótce kilku żołnierzy nowo tworzonego zgrupowania „Chrobry II" tak, że w sumie było nas kilkunastu. Większość miała kabe, ze dwóch — pistolety maszynowe, a ktoś tam zatknięty za pasem niemiecki „Handgranat". Złączyło nas jedno pragnienie i wspólny cel: dopaść co prędzej pociągu — byliśmy przekonani, iż w wykopie przed nami stoi pociąg — i zaatakować go.

O szczegółowym planie akcji nie mogło być mowy. Brak jakiegokolwiek rozpoznania, nieznajomość siły i zamiarów wroga, konieczność pośpiechu (byleby pociąg nie odjechał), nie pozwalały na ustalenie kolejności działań, wyznaczenie sposobu natarcia, ubezpieczenia czy dróg odskoku. Wszystko, co zamierzaliśmy, miało być wielką improwizacją.

Nie orientowaliśmy się nawet dokładnie, gdzie są Niemcy, a gdzie nasi. Zarówno od Towarowej i Żelaznej jak od skrzyżowania alei gen. Władysława Sikorskiego[1] z Marszałkowską, zresztą ze wszystkich stron, niosły się odgłosy strzelaniny. Wiedzieliśmy na pewno, że wróg zajmuje Dworzec Główny i sądziliśmy, że również — Dworzec Pocztowy. Poprzedniego dnia o świcie kilkunastoosobowa grupa żołnierzy wyznaczonych z naszej 33 kompanii WSOP pod dowództwem ppor. „Zbika godzin, po czym, posłuszna rozwraz ze st. strzelcem „Jeżem" (Jurek Babicki) i ja się znalazłem, zajęła Dom Kolejowy przy ulicy Żelaznej 18 przy skrzyżowaniu z Chmielną. Przeszukaliśmy dokładnie wszystkie pomieszczenia, lecz szkopów nie napotkaliśmy. Dozorca, polski kolejarz, zajmujący z żoną i kilkorgiem dzieci lokal w suterenie, powiedział nam, iż 1 sierpnia, około godziny siedemnastej, urzędujący tu zwykle Niemcy polecili, aby ani on, ani nikt z rodziny nie opuszczał mieszkania. Tak też uczynili: od tamtej pory z izby nie wychodził i Niemców nie widział; zapewne uciekli jeszcze tego samego wieczora. Cała nasza grupa przebywała w Domu Kolejowym kilka godzin, po czym, posłuszna rozkazowi, wycofała się, pozostawiając go na łasce losu. Nie przypuszczaliśmy jednak, żeby nieprzyjaciel wrócił do tego budynku.[2] Wojskowy Instytut Geograficzny (WIG) — ponoć zdobyty przez 34 kompanię WSOP w pierwszym dniu Powstania — więc nasz. W czyich rękach są domy po nieparzystej stronie Alei Jerozolimskich — pozostawało zagadką.

Zdani na własną spostrzegawczość, ocenę sytuacji i pomysłowość, ruszyliśmy chyłkiem naprzód. Początkowe przemykając się wąziutkimi przejściami wśród stert drewna i metalu oraz rozglądając się, którędy najlepiej przesunąć się, by nie być zauważonym, czołgaliśmy się w końcu tyralierą, jak na ćwiczeniach, pośród wysokiej, mokrej po deszczu trawy tudzież przeróżnych zielsk. Trzymając w obu dłoniach lebela oraz butelkę z benzyną, czołgałem się wraz z innymi. Najpierw, prawie na wprost ulicy Chałubińskiego, dostrzegliśmy niski komin parowozu: dymił słabo, co chwila wydobywała się z niego z sykiem para. Gdy dotarliśmy na skraj wykopu, porosłego na zboczach dziko rosnącą trawą i różnym chwastem, oczom naszym ukazał się krótki, towarowy pociąg, stojący na bliższym nam, przelotowym torze: składał się z parowozu oraz z pięciu wagonów. Lokomotywa, zwrócona przodem na zachód, z małą, jakby przyklejoną do niej węglarką, z otwartymi na przestrzał drzwiczkami, była „pod parą", gotowa do ruszenia. W płomienistej czeluści paleniska buzował ogień. Z obsługi nikogo w niej nie było.

Znalazłem się na jej wysokości. O parę kroków ode mnie w prawo leżał „Jeż". Pozostali, rozpłaszczeni na odkrytym terenie, zalegli wzdłuż wykopu, w kierunku ulicy Żelaznej. Warunki obserwacji mieliśmy dobre, dokładnie przepatrywaliśmy przedpole. Do parowozu doczepione były od strony Dworca Głównego dwa odkryte wagony, załadowane kostką węglową. Takie same dwie węglarki, pełne drobnego węgla, znajdowały się na końcu pociągu. Środkowy wagon towarowy, pomalowany na szaroniebiesko, był zadaszony i miał zasunięte wierzeje. Z jego małych okienek, raz po raz, rozlegał się jazgot karabinu maszynowego. Niemcy nie żałowali amunicji, snadź mieli jej w bród, chociaż oczywiste było, że strzelają na oślep. Chcieli ściągnąć pomoc, dodać sobie otuchy, zastraszyć możliwych napastników? — nie sposób było rozeznać. Niełatwo było też rozwikłać przyczynę zatrzymania się w tym miejscu pociągu. Odnosiło się wrażenie, iż koła ostatniego wagonu wypadły z szyn. Czyżby lokomotywa pchała przed sobą wagony od Dworca Zachodniego i pociąg wjechał na uszkodzone, rozkręcone lub pęknięte szyny czy inną przeszkodę, nie mogąc ruszyć ani w przód, ani do tyłu? Na dociekanie prawdy i dogłębne sprawdzenie nie stało czasu.

W lewo, na rozjazdach i w prawo, w biegnącym równolegle do Alei Jerozolimskich wykopie, na płaskim dnie gdzie ciągnęły się dwie pary błyszczących pasków szyn, rozległe pustkowie — nigdzie żywej duszy. Wykop od Alei odgradzał niski płot; za nim była jezdnia z torami tramwajowymi. Po przeciwnej stronie Alei, na tle przesuwających się po niebie chmur, widać było w dali gmach Ministerstwa Kolei, bliżej zaś wysokie, kilkupiętrowe kamienice, przylegające do podobnych budynków u wylotu ulicy Chałubińskiego. Nie dawały nam one spokoju. Jeśliby byli w nich Niemcy, wybiliby nas do nogi. Załoga pociągu przeniosła jednak w pewnej chwili swój ogień i na te domy. Odpryski tynku, kotłujący kurz oraz brzęk roztrzaskiwanego szkła szyb, utwierdziły nas w przekonaniu, iż stąd nic nam nie grozi. W największe zdumienie wprawiał nas brak działalności wroga z potężnych zabudowań Dworca Głównego. Zajęci ostrzałem alei gen. Władysława Sikorskiego w kierunku ulicy Kruczej i Nowego Światu, szkopy na Dworcu zapewne nic nie wiedzą ani o pociągu, ani o nas. Dobra nasza!

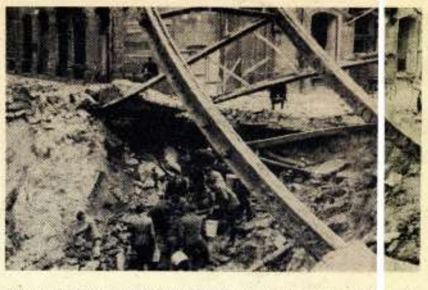

Wskutek uszkodzenia magistrali już w pierwszych dniach powstania, wystąpił niedobór wody w całym Śródmieściu-Północ. Bardzo szybko wykopano tu kilkadziesiąt studni podwórzowych. Na skrzyżowaniu ulic Złotej i Zielnej ludność okolicznych domów zaopatrywała się w wodę również z pękniętej rury w leju po wybuchu bomby (na zdjęciu).

Fot. Sylwester Braun „Kris"

Czas uciekał. Należało szybko na coś się zdecydować, coś przedsięwziąć. Butelka zapalająca zawadzała mi i przysparzała kłopotu, ale żal było z nią się rozstać — wcześniej czy później mogła się przydać — mieliśmy ich tylko kilka. W płytkie, zapchane nabojami kieszenie wetknąć jej nie mogłem. Położyłem ją więc obok siebie, nastawiłem celownik karabinu i nie bacząc na napomnienia o oszczędzaniu amunicji, posłałem kulę w wagon, w którym byli Niemcy. To samo uczynili zresztą inni. Postrzelaliśmy trochę, lecz trzaski i szczęknięcia naszej broni niezadługo przycichły. W pewnej chwili pojawił się obok mnie „Jeż" i szepnął przyduszonym głosem: „Zostaliśmy sami, wszyscy wycofali się". Uniosłem się nieco na rękach i rozejrzałem: rzeczywiście, prócz nas nikogo nie dostrzegłem. Poczuliśmy się nieco nieswojo. Nie było nad czym długo się namyślać; we dwóch nic nie zwojujemy. Oddaliśmy jeszcze po strzale w wagon, chwyciliśmy swoje butelki i pomału, ostrożnie wyczołgaliśmy się z powrotem.

Oczywiście, nikt spośród nas daleko nie odszedł. Ani nam w myśli postało zrezygnować z opanowania pociągu i wracać z pustymi rękami. Przycupnęliśmy w zwartej, ciasno stłoczonej gromadce pośród złomowisk i rozeznani już mniej więcej w sytuacji, jęliśmy pospołu na gwałt radzić. Nie mając z nikim łączności, musieliśmy liczyć tylko na siebie a każda minuta była droga.

Ustaliliśmy tedy jednomyślnie, że podczołgamy się bardziej w lewo w skos, obrzucimy wagon, w którym są Niemcy, butelkami i podpalimy. Żwawo i sprawnie, aby nadrobić stracony czas, przesuwaliśmy się na pozycje do decydującego natarcia. Szkopy strzelali z wagonu z zajadłym uporem, ale kule świszczały ponad naszymi głowami, przechodziły górą gdzieś w kierunku szkoły kolejowej przy ulicy Chmielnej. Kiedy osiągnęliśmy na nowo zbocze wykopu, stała się rzecz zgoła nieprzewidziana. W pewnym momencie usłyszeliśmy donośny, krótki, kilkakrotny gwizd lokomotywy i ujrzeliśmy kłęby dymu z rojem skier buchające z jej komina. W okamgnieniu parowóz, wetchnąwszy ogromnym zapasem pary, nabierając gwałtownie szybkości, pognał prosto torem przed siebie. Odjechał sam parowóz a w nim tylko maszynista! Nikt nie zdążył nawet do niego strzelić! Gdy mijał wiadukt ulicy Żelaznej, na zboczach wykopu wybuchły dwa granaty. Rzucili je niewątpliwie nasi — powstańcy, lecz skąd? Sylwetek ludzi nie widzieliśmy. Granaty te nie zatrzymały lokomotywy i wkrótce zniknęła nam ona z oczu.

Zdumienie nasze nie miało granic. Zbici z tropu, zaskoczeni i wstrząśnięci do głębi, dopiero gdy minęło pierwsze oszołomienie i nieco ochłonęliśmy, pojęliśmy jak to się stało. Korzystając z przerwy w ostrzale, spowodowanej naszym wycofaniem się, wyśliznął się prędziutko z wagonu maszynista, odłączył parowóz, wdrapał się nań i uruchomił. Po paru minutach był już daleko i bezpieczny. Nie znalazł się wśród Niemców drugi śmiałek, który odważyłby się mu towarzyszyć. Pozostali w wagonie mieli nadzieję, że uciekinier zawiadomi kogo trzeba i doczekają się odsieczy — wystarczyło zatelefonować z Dworca Zachodniego na Główny.

Niełatwo nam było darować sobie tę porażkę. Wyrzuty sumienia odłożyliśmy jednak do późniejszego rozpamiętywania i przystąpiliśmy do wprowadzenia naszych zamysłów w czyn. Podczas gdy część z nas strzelała w zajmowany przez szkopów wagon, reszta rzucała butelki. Z podpalonymi wąsami, przecinały powietrze i rozbijały się z łoskotem. Wypadki potoczyły się błyskawicznie. Rozlana ciecz buchnęła płomieniem i rude jęzory dymiącego ognia rozlazły się po wagonie. Jakkolwiek ów „fajerwerk" nie trwał długo i pozostawiając kopeć szybko zgasł — dach i ściany wagonu były po deszczu mokre — sprawił na zmienacka zaatakowanych niesamowite wrażenie. Wybuch rzuconego granatu zwiększył jeszcze ich lęk. Niemcy wyskakiwali z wagonu przez otwarte drzwi od strony Alei Jerozolimskich: kilkunastu chłopa, tęgich, nalanych sadłem, nie pierwszej już młodości, z bronią, bez broni, w hełmach, z odkrytą głową i w popłochu, jakby im odjęło rozum, wśród naszych strzałów i krzyków: „Haende hoch!", poczęli biec sznurem w kierunku wiaduktu ulicy Żelaznej, dokąd odjechała lokomotywa. Nazbyt długo czekali nadaremnie na pomoc z Dworca Głównego, która nie nadeszła, sądzili więc, że tam ratunku nie znajdą. Wrzeszczałem i ja, najgrubszym, na jaki mogłem się zdobyć głosem: „Ergebt euch!", „Waffen hinlegen!". Po kolorze mundurów poznaliśmy, iż są to bahnschutze — policja kolejowa.

Niebawem pod ogniem z naszych luf kilka martwych ich ciał legło nieruchomo. Reszta w mig zorientowała się, że to nie przelewki i z wzniesionymi do góry rękoma zastygła w bezruchu. Darowaliśmy im życie. Zbaranieli z pewnością do cna, gdy ujrzeli swoich przeciwników: młodych, szczupłych, niepozornych. Przywoływani ruchami naszych dłoni i wezwaniem: „Komm, komm", nie mogąc pozbyć się strachu w przerażonych, nerwowo rozbieganych oczach, wspinali się potulnie po poboczu wykopu w naszą stronę. Jednemu udało się zbiec. Z przypiętym plecakiem puścił się co sił w nogach wzdłuż torów w stronę Dworca Głównego. Przez mnie nikt go chyba nie zauważył. Nie dostrzegłbym jego i ja, gdybym przypadkowo nie rzucił okiem w bok. Wziąłem go na muszkę, ale spudłowałem, gdyż po moim strzale rwał jeszcze szybciej. A może tak mi się tylko z daleka zdawało? Na domiar złego okazało się, iż wystrzeliłem ostatni nabój z komory. Zanim wyłuskałem z kieszeni nowe, załadowałem, zarepetowałem i złożyłem się do celowania, znikł pośród zakamarków peronów pod płytą Dworca. Oprócz maszynisty lokomotywy mógł więc i on zawiadomić Niemców na Dworcu o naszej akcji. „Ha, trudno", machnąłem ręką i zabrałem się do zdjęcia pasa z ładownicami bahnschutzowi, który z podniesionymi rękoma wyszedł po skarpie prosto na mnie. Wrzawa i strzały ucichły tu teraz zupełnie. Otoczeni i rozbrojeni przez nas jeńcy odmaszerowali pod strażą na tyły. Odprowadzeniem ich zajęli się głównie chłopcy ze zgrupowania „Chrobry II".

Poczuliśmy się raźniej, nabraliśmy pewności siebie. Zsunęliśmy się zaraz po zboczu, przeskoczyliśmy przez szyny i weszliśmy po schodkach do wagonu, z którego wykurzyliśmy szkopów. Wewnątrz stały piętrowe prycze, stół, żelazny piecyk, pod ścianą stojak do karabinów, a na podłodze walały się plecaki, hełmy, walizki i jakieś worki. Poza kilkoma dziurami w ścianach wagonu, wyraźnych szkód spowodowanych naszym ostrzałem nie stwierdziliśmy. Uwagę naszą przykuło od razu parę mauserów oraz rozstawiony na podstawie karabin maszynowy, z zadartą w górę, ciepłą jeszcze lufą. „Umie ktoś obsługiwać taki karabin?" — zawołałem. Nikt się nie zgłosił. Mieliśmy w naszej drużynie przeszkoloną sekcję kaemu: dowódca — kapral podchorąży „Lech" (Marian Jakubowski), celowniczy — starszy strzelec „Czupurny" (Tadeusz Liberadzki), taśmowy — strzelec „Wicaniak" (Zygmunt Olekslak) i amunicyjny — strzelec „Żuk" (Stanisław Świderek). „Broń w sam raz dla nich" — pomyślałem. Zwijaliśmy się raźnie. Każdy przetrząsał śpiesznie jedno za drugim i zgarniał co mu wpadło pod rękę. Zdjęcie karabinu maszynowego z podstawy sprawiło nam sporo trudności, ale przy pomocy znalezionego w wagonie francuskiego klucza w końcu się z tym uporaliśmy. Niepodobna było przejrzeć wszystkie walizki i worki. Wymagałoby to zachodu i czasu, a obawialiśmy się, że Niemcy z Dworca Głównego mogą nam lada chwila odciąć odwrót. Nie zwlekając, nałożyłem na głowę bahnschutzki hełm, zawiesiłem sobie na karku lebela i zarzuciłem na ramię karabin maszynowy. Gdy schodziłem z wagonu Jurek Babicki, stojąc przy stole, coś jeszcze manipulował przy rakietnicy, a „Miś" (Zdzisław Chojnacki), z hełmem zwisającym na karku, zawijał w papier kawał obsuszonej słoniny.

Pozostawiliśmy pociąg na torze, jak go zastaliśmy, i w miarę oddalania się od niego, zapomnieliśmy o grożącym od Niemców z Dworca Głównego niebezpieczeństwie. Objuczony swoim lebelem i kaemem, który przekładałem z ramienia na ramię i poprawiłem, bo ciążył, szedłem w czołówce rozciągniętej kolumny i od czasu do czasu zerkałem przez ramię za siebie. Postanowiłem sam donieść największą naszą zdobycz do kwatery i propozycje: „Daj, ja trochę poniosę!" puszczałem mimo uszu. Ktoś tam za mną dźwigał trójnożną podstawę karabinu, ktoś inny taśmy z lśniącymi nabojami i metalowy pojemnik na wodę do chłodnicy. Z bahnschutzkimi mauserami, plecakami, kocami — żałuję, że tyle „dobra" trzeba było w wagonie zostawić — wchodziliśmy jeden za drugim po schodkach z wypalonej cegły na rampę, okrążaliśmy po niej magazyn, by znaleźć się znów na ulicy Chmielnej. Wkrótce zmęczeni i ubłoceni, maszerowaliśmy sprężystym krokiem po asfalcie zatłoczonych bram i podwórzy, wśród szpaleru kobiet, mężczyzn i dzieci, którzy wylegli z mieszkań. Obserwowali naszą akcję z okien górnych pięter i widzieli prowadzonych z założonymi na kark rękami jeńców. Klaskali teraz w dłonie, śmiali się do nas serdecznie i przyjaźnie, towarzyszyli nam idąc z boku.

Z poczuciem dobrze spełnionego zadania rozchodziliśmy się do swoich pododdziałów. Wypogodziło się zupełnie. Gdy dotarłem do kwatery, którą zajmowaliśmy od wczoraj w domu przy ul. Złotej 45, róg Sosnowej, cały ociekałem potem i kręciło mi się trochę w głowie. „Powinienem komuś się zameldować" — pomyślałem — postanowiłem jednak wstrzymać się z tym do powrotu wszystkich. Kaem, jego podstawę i taśmy z nabojami ułożyliśmy obok siebie w bramie. Ściągnąłem z głowy hełm, z karku lebela, i usiadłem dla odetchnięcia na podwyższeniu posadzki pod ścianą. Stawało się rojno i gwarno. Karabin maszynowy wzbudzał zainteresowanie, każdy chciał go obejrzeć, gratulowano nam. Niebawem zjawił się też dowódca drużyny, kpr. „Szyling" (Henryk Kniołek), któremu w krótkich słowach zdałem relację o przebiegu wypadu. Zaniósł do dowództwa kompanii kaem wraz z podstawą oraz taśmami i zameldował nasz powrót. Wrócił jednak rychło i zapytał mnie: „A co jest z Jurkiem?" „Nie ma go jeszcze?" — rozejrzałem się naokoło ze zdziwieniem. „Majstrował przy znalezionej rakietnicy, gdy opuszczaliśmy wagon" — wyjaśniłem, ale jednocześnie zaniepokoiłem się.

Niedobre przeczucie nie omyliło. Okazało się, że wycofaliśmy się dosłownie w ostatniej chwili. Podczas gdy nam, wychodzącym już niemal na ulicę Złotą, wydawało się, iż wypad udał się wspaniale — kilku Niemców poległo, wzięliśmy jeńców, dozbroiliśmy się, sami nie ponosząc strat — na zamykających pochód, znajdujących się jeszcze na rampie magazynu, z milczącej dotąd bryły Dworca Głównego spadł z nagła grad kul karabinu maszynowego. Pewnie zaalarmowani tam Niemcy podciągnęli ów karabin i obłożyli ogniem idących na końcu korowodu. Strach pomyśleć, co by było, gdyby uczynili to nieco wcześniej! Powiodło się kapralowi podchorążemu „Poetycznemu" (Stefan Stopiński), którego niesiony w ręku lebel w pewnym momencie podskoczył, zupełnie jakby wypalił: wroga kula trafiła w zamek i zupełnie go roztrzaskała. Na szczęście w komorze nie było nabojów, lecz karabin stał się bezużyteczny. Natomiast Jurek Babicki otrzymał postrzał w pachwinę. Koledzy wyciągnęli go z pola ostrzału i w szalonym pośpiechu — opatrunek przesiąkał szybko krwią — przenieśli rannego na kocu do szpitala przy ulicy Śliskiej. Nie było wszakże już dla niego ratunku; zmarł na stole operacyjnym. On jeden spośród nas stracił życie w tym wypadzie. Miał dziewiętnaście lat.

Dowódca plutonu pozwolił nam udać się pod wieczór do szpitala. Pomaszerowaliśmy w pięcioro: dowódca drużyny, kpr. „Szyling" (Henryk Kniołek), dwie sanitariuszki z naszej 33 kompanii, „Dembowska" (Janina Babicka), rodzona siostra Jurka, „Szalona" (Danuta Michałowska), jej najbliższa koleżanka i przyjaciółka, „Zdziarski" (Mieczysław Cichocki) i ja. Po wyłuszczeniu powodu i celu przybycia, siostra szarytka, w białym, długim fartuchu, szumiąc skrzydłami kornetu, wprowadziła nas do parterowego domku, tuż obok furtki od ulicy Siennej, służącego za kostnicę. Wśród co najmniej dwudziestu męskich zwłok, nagich, czysto wymytych, ułożonych na posadzce, rozpoznaliśmy Jurka. Stanęliśmy w smutnym milczeniu. Dziewczęta cicho łkały, plecy im się trochę trzęsły a nam też oczy zwilgotniały i ukradkiem ocieraliśmy spływające wzdłuż policzków łzy. Dużą wydała się nam danina z życ ludzkich po dwóch dobach walk. Z głębokiej zadumy zbudził nas głos siostry zakonnej: „Trzeba o żywych myśleć". Odmówiliśmy modlitwę za zmarłych, podziękowaliśmy siostrze i wróciliśmy do kwater.

Pochowano „Jeża" skromnie i cicho, wraz z innymi na skwerze obok szpitala. Po ekshumacji przeniesiono prochy na Cmentarz Powstańców Warszawy przy ulicy Wolskiej. Nieopodal Jurka Babickiego, również we wspólnej, żołnierskiej mogile, spoczywa drugi nasz przyjaciel i towarzysz broni — Mietek Cichocki, śmiertelnie ranny 6 września na placówce w „Żywcu". Obydwaj pozostawili po sobie serdeczną pamięć we wspomnieniach kolegów — powstańców.

Zdobyte w wypadzie na pociąg mausery i amunicję dowództwo naszego IV zgrupowania Śródmieście AK „Gust", które przeniosło się 3 sierpnia o świcie z ulicy Wspólnej 67 na Złotą 35, rozdzieliło na plutony. Kaem przyznano naszej drużynie. Koledzy objaśnili mi, że jest to lekki karabin maszynowy typu Maxim 08/15. Miał on przyrządy celownicze umożliwiające prowadzenie ognia przeciwlotniczego, ale strzelanie do samolotów, z powodu niedoboru amunicji, było zakazane. Wkrótce przeszliśmy z całym plutonem do 2 kompanii ppor. „Stacha" (Marian Chudzyński). Elkaem ustawiony na pierwszym piętrze czteropiętrowej kamienicy przy ulicy Chmielnej 56, pod dowództwem ppor. „Cyrusa" (Bolesław Ostrowski) — kpr. pdch. „Lech" został jego zastępcą — nie pozwalał Niemcom na podejście większym oddziałem na przedpole Dworca Głównego. Smugowa amunicja dawała możność prowadzenia ostrzału również w nocy. Gdy oddziały nasze, wspierane przez oddział Kedywu — „Kolegium C", opanowały 21 sierpnia budynek na rogu ulicy Marszałkowskiej i alei gen. Władysława Sikorskiego, w którym mieściła się restauracja „Żywiec", zmieniono stanowisko Maxima: z domu przy ulicy Chmielnej 43 ubezpieczał naszą placówkę w „Żywcu", z zadaniem ogniowym na Dworzec Główny i Aleje Jerozolimskie. Po spaleniu przez nieprzyjaciela budynków przy ulicy Chmielnej 43, 45, 47 oraz 49, elkaem wrócił z powrotem na Chmielną 56 i pozostał tam do końca Powstania.

---

1) Odcinek Alei Jerozolimskich od Nowego Światu do Marszałkowskiej od lipca 1961 roku nazywano aleją gen. Władysława Sikorskiego.

2) Na krótko przed naszym atakiem na pociąg Dom Kolejowy został obsadzony powtórnie przez kompanię kpt. „Zawadzkiego" ze zgrupowania „Chrobry II". W tym samym czasie kompania por. „Zdanika" (Zbigniew Brym) z tegoż zgrupowania, wsparta oddziałem z naszego IV zgrupowania Śródmieście AK „Gust", zdobyła Dworzec Pocztowy i Dom Turystyczny. Dowiedzieliśmy się jednak o tym dopiero nazajutrz.